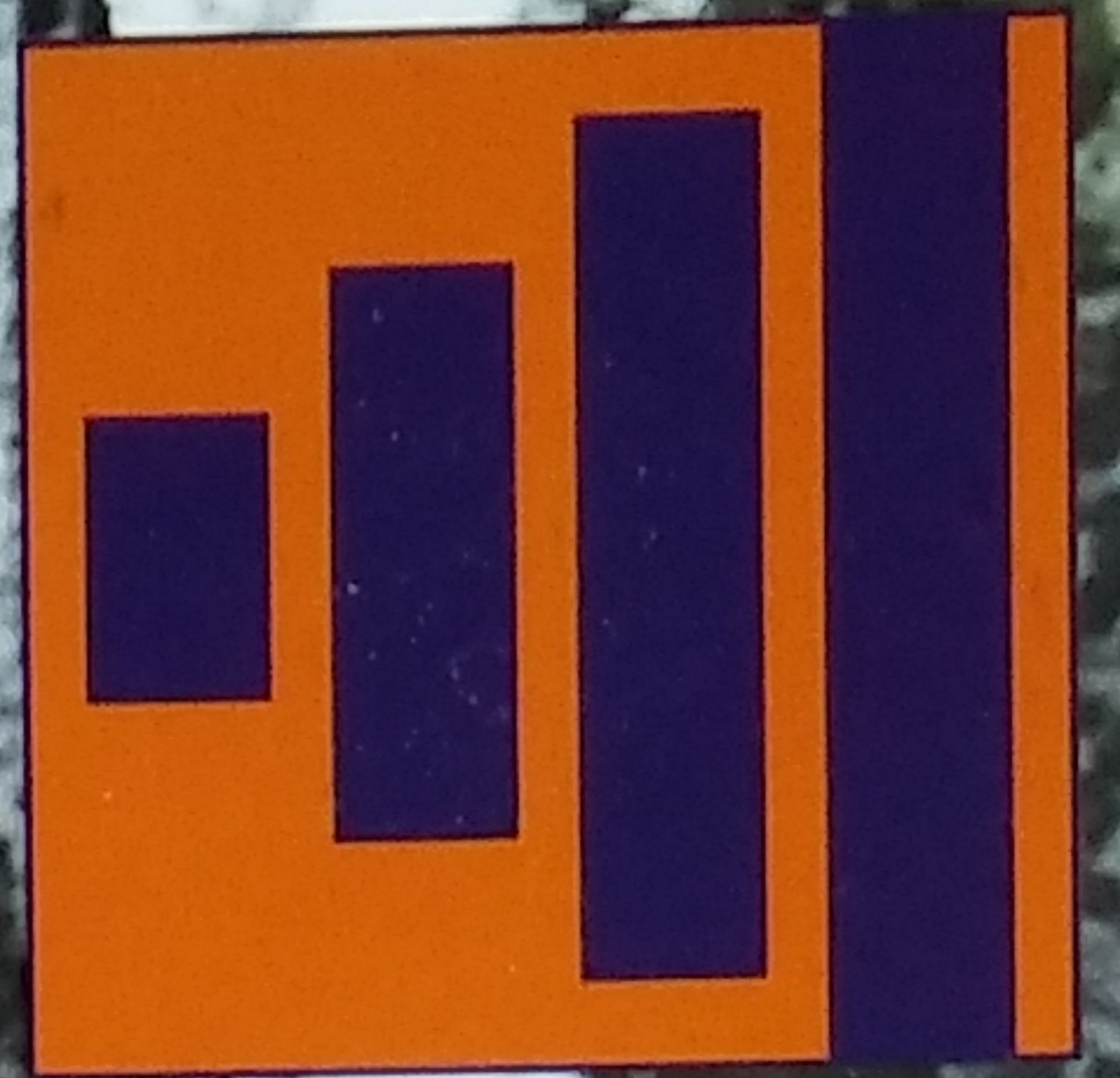


NOISE

MAGAZINE



numer 3 (19) lipiec 2018
cena 19.90 zł (w tym 8% VAT)
index 413828

GHOST
LUCIFER
TURBONEGRO
ESTER SEGARRA

ZEAL AND ARDOR
AARON TURNER
SYNY
THE DOG
CRAFT
EARTHLESS

YOBB



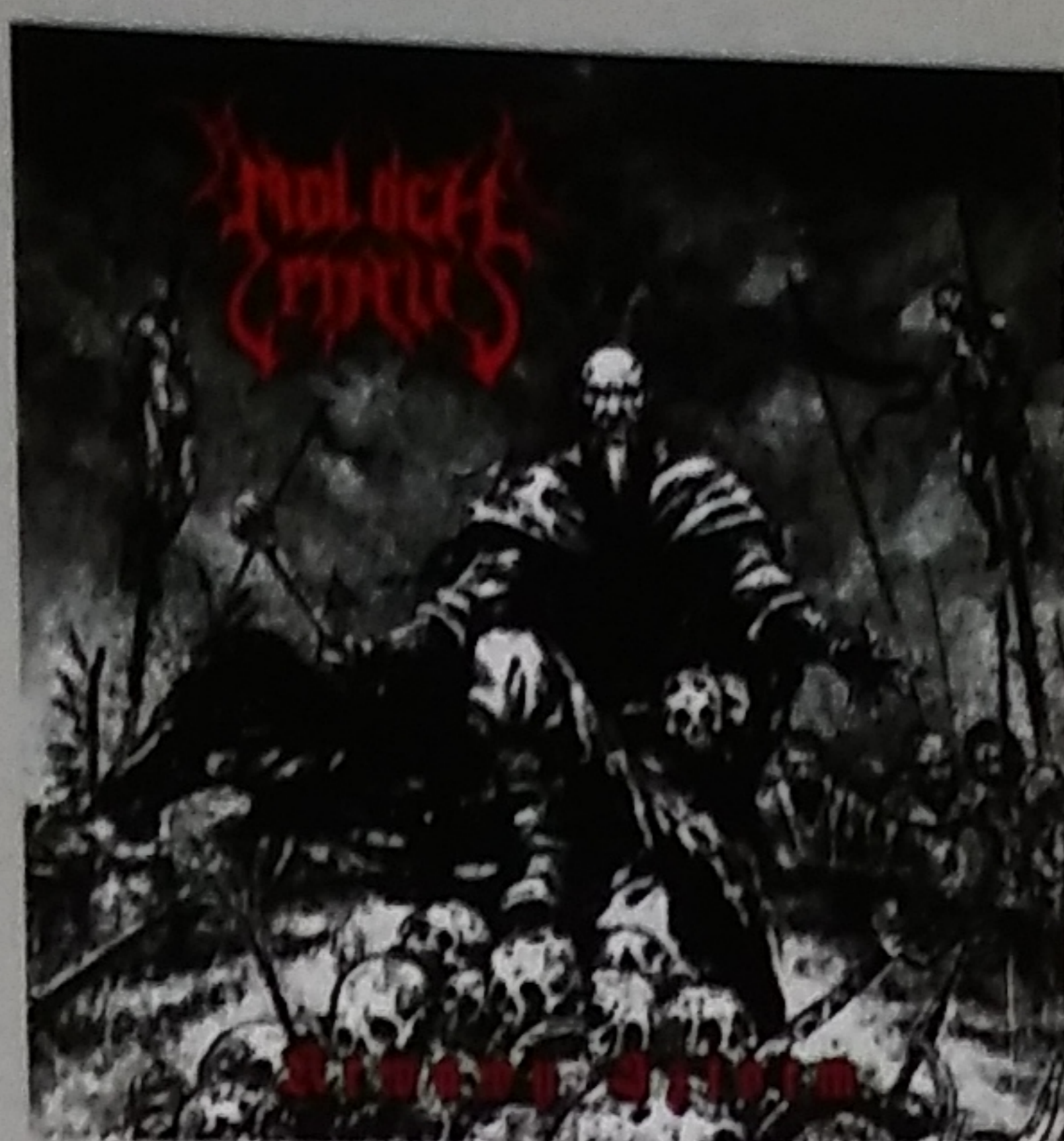


MINAMI DEUTSCH

With Dim Light
(Guru Guru Brain)

Widziałem kiedyś urywki filmu dokumentalnego pokazującego wizytę Manuela Göttchinga w Japonii. Byłego gitarzystę Ash Ra Tempel witano tam jak – nie przykładając – Justina Biebera, na pełnej celebrze. Gdybym miał opisać muzykę, która wypełniała debiut Minami Deutsch, to opisałbym ją właśnie za pomocą tej sceny, choć nieco zmodyfikowanej. Człowiek odpalał muzykę i miał przed oczyma jednego z ojców chrzestnych krautrocka. Otaczał go wianuszek sympatycznych mieszkańców Kraju Kwitnącej Wiśni. Uśmiechali się do niego, kłaniali mu się, robili sobie z nim zdjęcia i znów się kłaniali. Problem w tym, że wszystko to działo się nie w rzeczywistości, a w muzeum figurwoskowych. I woskowy – choć jak żyw – był też nasz Manuel. Muzyka Japończyków nie brzmiała bowiem jak nagrana przez spadkobierców Ash Ra Tempel, Can czy Amon Düül II, brzmiała – literalnie – jak Ash Ra Tempel, Can i Amon Düül II, tyle że wyprane z inwencji i mocy. Na *With Dim Light* – przynajmniej momentami – zespół potrafi uciec z tej pułapki. Co prawda nadal trudno odbierać te piosenki inaczej, niż jako hold składany klasykom krautrocka, ale jest on przynajmniej tu składany w zdecydowanie bardziej twórczej formie. W *Concrete Ocean* brzmienia Can mieszają się z dubowymi partiami basu, *Tunnel* brzmi tak, jak zabrzmiałoby Neu!, gdyby nie zwiastowało post-punka, a przyszło na świat już po jego złotej epoce, z kolei *Bitter Moon* równie mocno, co z Berlinem, kojarzyć może się też z psychodeliczną Kalifornią. Wszystko to sprawia, że drugi krążek Minami Deutsch brzmi zdecydowanie autentyczniej, być może nawet ma odrobinę własnego charakteru. Niemniej to wciąż przede wszystkim rekonstrukcja historyczna. I tak chyba trzeba go odbierać.

Piotr Weltrowski



MOLOCH LETALIS

Krwawy sztorm
(Old Temple)

Ze wstydem przyznaję, że Moloch Letalis usłyszałem w tym roku po raz pierwszy od wydania przez nich debiutanckiego demo w 2006. Tamten materiał nie spodobał mi się, cisnąłem go w kąt i więcej po ten zespół nie sięgałem. Chyba niesłusznie, bo *Krwawy sztorm* lekko mnie sponiewierał i ta niepozorna, ściśle undergroundowa płyta z niespecjalnie zabiegającego o rozgłos labelu jest jedną z najfajniejszych metalowych premier tego roku. Moloch Letalis jest prawdopodobnie tam, gdzie chce być – w podziemiu, pod egidą wyprofilowanej wytwórni, grając ukochany metal w wersji obskurnej i ofensywnej. *Krwawy sztorm* również sprawia wrażenie defaultowego albumu dla „kataniarzy”, który przywozisz z podziemnego koncertu razem z dziesięcioma innymi, nieodróżnialnymi od siebie płytami. Jednak Moloch Letalis, nie szukając oryginalności, gra cholernie rasowo, łącząc australijską szkołę black/thrashowej przemocy z „demówkowo-Altarsowym” etapem twórczości Morbid Angel, lekko punkowym przytupem i fantastyczną produkcją. Słysząc, że bycie dobrym, zgranym zespołem nie musi podcinać skrzydeł przepiślowej dziczy tej muzyki, że siedzenie w piwnicy nie równa się źle rozumianej amatorce. No i teksty – w zasadzie każdy „gatunkowiec” stawiający na język polski ma u mnie fory na starcie, a Moloch Letalis umie ulepić z tych mało mądrych okrzyków prawdziwe hymny o łamiących serce tytułach w rodzaju *Zatańczysz ze mną kurwa w piekle?* czy *Gotowy na piekło*. *Krwawy sztorm* nie utopi świata we krwi, ale to dzieło zespołu, który bardzo w swój metal wierzy, a ja bardzo wierzę Moloch Letalis.

Bartosz Cieślak



MYOPIA

Transmyopic Interconnection
(wyd. własne)

Jestem wielkim fanem białskiej Myopii. Podziwiam ich w zasadzie od samego początku, z zapartym tchem obserwuję nierówną walkę z oporną materią muzycznej branży. Twardzi od nich zawodnicy schodzili z ringu po płycie czy dwóch, a oni wydali już czwarty krążek (nie licząc demówek) i nadal pozostają monumetem niezależności, odwracającym się do świata plecami. Pozostaje tylko dręczące pytanie – czy taka postawa wynika z bezsilności, czy raczej sztywno ustawionych priorytetów, które możemy sprowadzić do schematu – nagrywamy płytę, sami ją wydajemy, a potem chowamy się w najciemniejszy kąt? Choć to może ów świat nie poznał się na zespole? W to mogę uwierzyć, bo nawet przyjmując upraszczającą kategorię „polski Voivod”, Myopia pozostaje muzycznym monolitem, który strawny będzie tylko dla prawdziwych koneserów łamania dźwięków i dziennikarzy. I jeśli nawet zdarzyła im się płyta, która miała szansę coś zmienić (najbardziej przystępny w dyskografii album *Simultaneous Simulations*), to szybko – za sprawą najnowsze-go dzieła – wracają do swojej ciasnej niszy. Czyli u Myopii bez zmian, choć może warto zastanowić się, czy za ten stan rzeczy odpowiada całkowite wypięcie się na popularne formy promocji – brak w 2018 roku zespołowego profilu na Facebooku, konta Soundcloud czy nawet Bandcampa (OK, jest strona www) świadczy o tym, że mamy do czynienia z radykalnie pojmowaną niezależnością albo... No właśnie, zwyczajnie szkoda, że Myopia nie próbuje choć minimalnie uśmiechnąć się do otoczenia. Szanuję to, próbuję zaprzyjaźnić się z nową płytą i cały czas myślę o zwyczajnie zmarnowanym potencjale. Nie pierwszy raz zresztą.

Arek Lerch